№ 45. Warszawa, dnia 22 Października (5 Listopada) 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

POETKI CZESKIE.

NAPISAŁ

Zenon Przesmycki.

(Dokończenie.)

Daleko mniejszym talentem poetyckim, lecz równą, a może gwałtowniejszą, gorętszą jeszcze miłością kraju odznaczają się utwory *Anny Władstimiły Różyczkowej*, urodzonej w Pilznie d. 8 Lipca 1824 r. Literacka działalność jej była niewielka. Drukowała początkowo liryczne swe poezyjki w *Kwiatach* i w *Pszczole*, a w roku 1859 wydała u Pospiszila w Pradze tomik cały tkliwych kwiatków pobożnego, patryotycznego uczucia. Prócz tego przełożyła z niemieckiego powiastkę Zschocke'go: „Zbieg w górach jurajskich".

Przerzucając kartki jej skromnego z powierzchowności zbiorku poezyi, dziwnego doznajemy uczucia. Każdy ustęp robi na nas wrażenie nierozwiniętego pączka. Czujemy, że poetka tworząc go miała w duszy całe światy piękna, całe skarby poezyi, całe tonie uczucia, lecz że środki zewnętrzne były niewystarczające dla ich uplastycznienia, że to, co w sercu poetki było gromem, w uzewnętrznieniu stawała się jękiem, że okrzyk radości zmieniał się w szept cichy, że szczere złoto blask swój traciło, a barwy i wonie gdzieś w dal uciekały. Potężne wyrazy, wzruszające zwroty, głębsze myśli nurtujące w duszy poetki przybierały się w oklepane, banalne, szablonowe frazesy i tylko baczne ucho wśród wrzawy tych tłumów powszedniej dosłuchać może harmonijnych poezyi dźwięków, i tylko za wodzą gorących jej uczuć, jak za nitką Aryadny, wejść można w ukrytą a piękną krainę jej marzeń. Różyczkowa była nietyle poetką pióra, ile poetką duszy. Czuła ona sama nieudolność swą literacką, pisała wszakże z miłości dla kraju:

Nie każdy na świecie,
Jako róża płonie,
Jak ona rozlewa
Czarodziejskie wonie.

Ja się jednak starać
Będę z duszy całej,
Aby wszystkie serca
Kraj swój kochać chciały.

Słowiczego głosu
Nie dano mi w niebie,
Ja jednak opiewać
Będę kraju ciebie.

(„*Życzenie.*")

Dwa uczucia dominują w sercu poetki: miłość Boga i kraju. Przed Bogiem się korzy, w Niego wierzy, do niego w ciężkich ucieka się chwilach („*Wiara w Boga*"), kraj swój kocha nadewszystko, a wyznanie bezgranicznego przywiązanie tego wyrywa się z ust jej co chwila. Oto, dziewczę przy księżycu oczekuje kochanka. Ten nie przychodzi:

Blednie liczko dziewy,
Łza jej oko rosi,
Jednak z głębi serca
Tę modlitwę wznosi:

„Panie nad gwiazdami,
Słuchaj głosu mego,
Wybaw kraj mój drogi,
A chroń życie Jego!

Gdyby wszak padł w boju,
To żal mój ukoi,

Że poświęcił życie
Dla ojczyzny swojej!"

(*„Oczekiwanie"*).

W innem miejscu, poetka czasowo oddalona od kraju, w gorącym lirycznym wylewie objawia swą tęsknotę:

Ah patrz, tam w niezmiernej dali
Błękitnieje łańcuch gór,
W czarodziejskiej swojej krasie,
Spływa z sinym szlakiem chmur.

Za te góry rwie się dusza,
Na ich widok spada łza,
Tam, ah tam jest szczęście moje.
Tam, ah tam ojczyzna ma!

Tam ma ziemia, czeska ziemia,
Tam ten piękny, sławny kraj,
Tam me dzielne żyje plemię,
Tam me niebo, tam mój raj!

(*„Oddalona"*).

Ta ojczyzna ukochana, za którą tęskni, do której dąży, w dziwnie pięknych poetce przedstawia się barwach. Nie ma drugiej takiej ziemi, nie ma drugich ludzi takich:

Hej, cóż to za ziemia,
Jedyna na świecie,
Jak cudne tu sady,
Jak wonne tu kwiecie!

Wkoło wszystko żyje,
Brzmi głos ptaków z gaju,
Spójrz na ziemię czeską,
Pomyślisz, żeś w raju;

Ah, jakiem szczęściem serce moje drga,
Że mą ojczyzną piękna ziemia ta!

Hej, cóż to za męże,
Których wychowała,
Łaskawie, jak matka,
W łonie piastowała.

Jakże oni mężnie
Na straży jej stoją,
Nienawiści wrogów
I walk się nie boją:

I szał radości wstrząsa duszą mą,
Męże ci braćmi moimi się zwą!

Czechów sławna ziemio,
Tyś jest szczęście moje,
Wiecznie jaśnieć będzie
W sercu imię twoje,

Wierna córa chętnie
Zniosę dolę srogą,
Byle się nie rozstać
Z ojczyzną swą drogą.

O bądź szczęśliwa, ziemio piękna ma,
To jedno spokój duszy mojej da!

(*„Moja ojczyzna"*).

W większej części utworów swych, poetka w uniesieniu gorącej miłości dla kraju, nie myślała tyle o nadaniu im artystycznej formy, ile o przelaniu w nie tego ognia, który trawił jej duszę.

W innych ustępach, gdzie to wrzące uczucie nie robiło jej takiej dystrakcyi, znajdujemy i formę piękniejszą i bardziej ogładzoną. Oto np. mała idylka p. t. *„Dobra noc"*.

Zgasła dawno słońca kula,
Mrok tajemny świat otula,
Rozlewając czarów moc.

Anioł Pański dzwon wydzwania
Jakby dawał pożegnania
Znak krainom: „Dobra noc!"

Na gór szczyty mgła opada,
Lecz księżyca jasność blada
Płoszy cieniów moc.

Jako łabędź na głębinie
Po wód toni łódka płynie,
Szepcze falom: „Dobra noc!"

Już przybiła do wybrzeża,
Dziewczę z chłopcem na ląd zmierza,
Łączy ich miłości moc.

Tu krajobraz w raj się zmienia,
On całuje, pełen drżenia,
Jej usteczka: „Dobra noc!"

Do pierwszego patryotycznego okresu poezyi czeskiej zaliczyć jeszcze musimy nieliczne utwory *Zofii z Rottów Podlipskiej*, znakomitej powieściopisarki czeskiej, siostry znanej i u nas Karoliny Świetli (Joanny Mużakowej). Pomieszczała je ona w czasopismach pragskich, przeważnie w *Lumirze* i *Kronice rodzinnej*.

Jednocześnie z nią drukowała również w dziennikach niewielką liczbę pięknych, rzewnych pieśni *Antonina Körschnerowa* (pseud. Marya Antonina). Jedną z nich pełną serdecznego uczucia przytoczymy tu na próbkę:

PIEŚŃ ŚLEPEJ GABRYELI.

Posępna mnie otacza noc,
Zasłona kryje oko me,
Napróżna jasna niebios toń
Wesoło do mnie śmieje się.

Złociste słońce, gwiazdek rój
Dla oczu mych nie świecą już;
Bławatków nie ma dla mnie błoń,
Ogród szkarłatnych nie ma róż.

I cudna krasa ludzkich lic,
Którą na wzór Bóg stworzył swój,
Wzmaga jedynie żałość mą,
Łez gorzkich budzi nowy zdrój.

Posępna mnie otacza noc,
Zasłona kryje oko me;
Lecz gdy rozpaczam, z nieba głos
Serdecznie, tkliwie cieszy mnie:

„Nie smuć się, nie smuć, córko ma,
I tobie kiedyś błyśnie świt,
I w radość wieczną zmieni się
Twój smutek, żal i bólu zgrzyt."

Na czasie.

Jeżeli kiedykolwiek poeta uparty,
Przeklina marny kruszec wzdychając bezwie-
[dnie,
Nie wierzcie szalonemu! to mrzonki, to żarty,
To brednie!

Łatwo mu, gdy ustawi martwych liter hufce,
Kazać milczeć mamonie przy czułych serc biciu:
Łatwo mu gardzić złotem w rymie, lub średniówce,
Nie w życiu!

Bez tej podłej mamony ciężko żyć, ja sądzę:
Cóż bowiem ludzką przyjaźń zjednywa nam stale?
Co wrogów łączy dłonie? co łagodzi żale?
Pieniądze!!

Dzisiaj wartość człowiek na cyfrę świat ceni:
Chociażby jaśniał cnotą, lub wdzięcznem obliczem,
Wszystkie jego zalety, przy pustej kieszeni
Są niczem.

Pieniądze dźwignią świata i życia osłodą;
Bez nich codzienne walki nad przepaść nas wiodą:
I nieraz nas opuszcza do życia ochota,
Bez złota!

Emilia.

FACYENDA ŁEB NA ŁEB.

(SZKIC Z PRZESZŁOŚCI NIEODLEGŁEJ.)

PRZEZ

Aleksandra Półkozica.

Dalszy ciąg.)

Ale pan Brodoszewski nie był pospolitym pośrednikiem, najpierw dlatego, że pochodził istotnie z dobrej rodziny szlacheckiej i sam posiadał kiedyś wioskę, którą przeputał w dniach nieopatrznej młodości, powtóre zaś z powodu, że miał minę wielce buńdziuczną, którą mu nadawała broda czarna jak heban, szeroka niezmiernie i aż do pasa długa, oraz brwi tegoż koloru, duże i krzaczaste, które wznosząc się i opadając po nad jego ruchliwemi oczami, wyglądały jak dwie kosmate liszki wiosenne.

Głównie jednakże z tłumu pospolitych pośredników wyróżniała Brodoszewskiego ta okoliczność, że zaledwie wstąpiwszy w ten nowy dla siebie zawód, natrafił odrazu prawie na żyłę złotą... czyli na interes tak szczęśliwy, przy kupnie dóbr ogromnych, że zarobił za jednym zamachem kilkanaście tysięcy rubli.

Rozumie się, że od tego czasu pan Brodoszewski nie wdawał się już w operacye drobne, ubliżające jego godności ex-obywatelskiej, a jeżeli niekiedy jeszcze raczył pośredniczyć za marną opłatę

trzech lub czterech procentów od ogólnej wartości interesu, to czynił to raczej z miłosierdzia nad nieszczęśliwymi współziomkami swemi i z obawy, ażeby pozbawieni jego rad życzliwych, nie popadli w drapieżne ręce żydowskie.

Nieprzeszkadzało to jednak godnemu ex-obywatelowi do utrzymywania ścisłych nawet, acz sekretnych stosunków, z całą zgrają żydowskich faktorów, którymi się posługiwał w potrzebie.

Obejrzawszy dokładnie Bykówkę i Dzięcioły, pod przewodnictwem Lejbki i Hersza, pan Brodoszewski ugoszczony suto przez panią Agatę, wyjechał tegoż dnia jeszcze z powrotem do Warszawy. Jednakże przed wyjazdem, żegnając się z panem Rochem i jego małżoną, przemówił w następujący sposób:

— Ja — rzekł — interes ten państwa ułatwić przyrzekam. Wprawdzie widzę, że dochód czysty z tego majątku mniejszy jest nieco i nie tak stały jak dochód z posesyi, mego przyjaciela, pana Referendarza Radobryńskiego, lecz ze względu iż dobra ziemskie uważam za najpewniejszą lokacyę dla kapitału i wielkie korzyści obiecujące w przyszłości... a może i z powodu, że jako potomek obywateli wiejskich, z krwi i kości, mam zawsze dla nich żywą sympatyę, będę namawiał mego przyjaciela do zrobienia zamiany zobopólnych majątków stron obu, jak to mówią, łeb na łeb, bez żadnego przydatku. Zastrzegam sobie jednak, piśmienne ze strony szanownych państwa zobowiązanie, iż zaraz po dokonaniu aktu zamiany, zapłacicie mi skromny, czwarty procencik, od szacunkowej ceny jaką na majątek wasz sami ustanawiacie.

Nie działam tu interesownie, broń Boże! i dla siebie samego nie żądałbym nic zgoła... zadawalniając się jedynie myślą, że zasłużyłem się współobywatelom moim! Lecz okoliczności sprawiły, że obecnie muszę opiekować się pewną zrujnowaną w klęskach ogólnych... rodziną, także obywatelską i dla niej to przeznaczam ów procent od interesów w których pośredniczę, na mój koszt własny, bez żadnego wynagrodzenia!

To powiedziawszy a raczej wydeklamowawszy z przesadą i zabrawszy do pugilaresu piśmienne od państwa Bujalskich zobowiązanie, zacny pan Brodoszewski wyjechał z Bykówki odesłany powozem samej pani Agaty do Siedlec, zkąd już koleją żelazną do Warszawy powrócił.

Od tego momentu proces całej zamiany począł odbywać się szybko.

Najpierw, pani Agata z mężem udali się do Warszawy i obejrzeli dokładnie posesyę na którą mieniać się zamierzyli. Następnie znowu pan ex-referendarz Radobryński, także z małżonką, oraz w towarzystwie pana Brodoszewskiego, zjechali do Bykówki, gdzie samego ex-dygnitarza, zachwyciła majowa już wtedy zieloność i... kurczęta ze śmietaną na podwieczorek dane. A gdy obiedwie strony okazały się zadowolone z odbytego rekonesansu, ułożono się o warunki, podpisano takowe i w rezultacie postanowiono, że od św. Jana, czyli od 1 Lipca tegoż roku, państwo Bujalscy obejmą w posiadanie posesyą na Nowym-Świecie, ustępując natomiast miejsca państwu Radobryńskim w bykowieckim dworze.

Teraz dopiero pani Agata odetchnęła spokojnie i spoczęła na laurach, nie na długo jednak, albowiem przezorna ta dama postanowiła skorzystać z kilku tygodni pozostałych jeszcze do oznaczonego w kontrakcie terminu i przysposobić sobie na wsi mnóstwo zapasów do przyszłej, warszawskiej śpiżarni.

Radość i czynność matki podzielała starsza jej córka, Józia, która zawczasu już marzyła o świetnych balach w Warszawie, o loży na operę włoską i o... bogatym mężu, chociażby nawet pochodzącym z bankierskiego szczepu.

Prawda, że i braciszek jej, Kostuś, ów najmniejszy kłopocik ojcowski, również prawie uradował się z przemiany pobytu, choćby dlatego tylko, iż w Warszawie więcej jest cukierń i... ślizgawek niż w Węgrowie, i że z powodu przemiany szkół, zapewne przez czas jakiś popróżnuje sobie.

Pan Roch, któremu żona wytłomaczyła, jak wiele na owej zamianie skorzystał, zapewniając go przytem uroczyście, iż w ciągu półrocza wyrobi mu w Warszawie różne, honorowe tytuły, począwszy od członka Tow. Dobroczynności i Resursy Kupieckiej aż do... członka Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Wyzwolony zresztą z kłopotów gospodarskich, które w ostatnim roku pomnażały się jakoś ustawicznie, sam nie wiedział, czy ma się smucić czy radować ze zmiany położenia.

Właściwie mówiąc, poczciwy szlachcic nie miał nawet czasu zastanowić się nad niczem, albowiem co dzień prawie musiał odbywać wraz z żoną, pożegnalne wizyty w sąsiedztwie bliższem i dalszem, lub regulować rozmaite interesa drobniejsze.

Tylko Rózia i biedny Jan Bałkowski, zachowali posępne twarze wśród reszty ożywionych fizyognomii, chociaż za to, teraz gdy już zbliżała się chwila rozłączenia, coraz częściej i coraz wymowniej, poglądali jedno na drugie ukradkiem.

Ponieważ na tym doczesnym świecie, złożonym z mnóstwa rzeczy znikomych, wszystko co się zaczyna i kończyć się także musi, przeto skończył się i miesiąc Czerwiec a nastąpiła wigilia dnia tego stanowczego, w którym państwo Bujalscy całym domem i całym taborem, wyruszyć do Warszawy mieli, tem bardziej że państwo Radobryńscy już od dwóch tygodni odstąpiwszy zajmowany przez siebie lokal w Warszawie do swobodnego rozporządzenia nowym właścicielom, sami, za pozwoleniem pani Agaty, do Dzięciołów zjechali.

Otóż, zobaczmy, jak w dniu owym, pod wieczór, wyglądał szpaler lipowy w bykowieckim ogrodzie?

O! ten szpaler, długo później, aż do jesieni samej drżał listkami, wzdychał ciepłym powietrzem i płakał... rosą, na wspomnienie dziejów owego przedwieczoru!!

. . . .

Dziwna potęgo miłości! Jakiż to czar posiadasz? jaki urok wywierasz, nawet w tym naszym prozaicznym wieku!

Gdy w granice twojego, różami opasanego królestwa, wstąpią serca świeże i czyste... będą tam one milczały trwożne, jak pisklęta utulone pod skrzydłami matek, dopóki im dozwolonem będzie, bić obok siebie, chociażby nieświadomie tylko... Lecz niechno los czy ludzie, zechcą rozłączyć je z sobą! Wtedy te serca młode i nieśmiałe, przemówią głośno i wyśpiewają razem, *unissono*, uroczą piosnkę wzajemnego uczucia.

Jan i Rózia w owym przededniu fatalnym, spotkali się przy szpalerze ogrodu przypadkiem. Ona przyszła tam raz jeszcze zobaczyć i pożegnać swoje grzędki kwiatowe i zielone klęby, on zaś, chciał pewnie ukryć przed oczami obojętnemi swoją twarz smutną, a może też, biedny chłopiec! pragnął wyzdychać w ciszy i w samotności, smutek i tęsknotę, które mu tak ciężko na serce padły.

I spotkali się przy załamie szpaleru ..

Jan zastał tam Rózię opartą o drzewko czereśniowe, osypane purpurowym jak... jej usta owocem.

Zastał ją płaczącą rzewnie.

Żadne wyrazy, żadne najrozumniej obmyślane frazesa, nie zastąpią wymowy łez szczerych! Łzy takie równają wszystkich ludzi, bogatych z ubogiemi, uczonych z prostaczkami, bo u wszystkich płyną ze wspólnego źródła ludzkich boleści.

Jan spostrzegłszy Rózię płaczącą... oniemiał z rozpaczy. Biedny młodzian zbladł okropnie, załamał swe silne ręce i patrzył na nią z wyrazem takiego żalu i takiej miłości, że w spojrzeniu tem odbiła się cała jego dusza.

Czy Rózia zrozumiała to spojrzenie? Któż zgadnie? To jednak pojęła, że stanął przed nią ktoś równie jak ona nieszczęśliwy w tej chwili, ktoś, przed którym nie potrzebuje wstydzić się łez swoich. Więc też wyciągnąwszy rękę, rzekła ze łkaniem:

— Biedny panie Jasiu! Jutro już nie zobaczymy się z sobą!

Na bladą przed chwilą jeszcze twarz młodego rolnika, wybiła krwi purpura. Szybko zbliżył się do płaczącej dziewicy, ujął wyciągniętą doń drobną rączkę i zawołał urywanym, głuchym głosem:

— Panno Rozalio! Mój Boże! Mój Boże! Jakżem ja nieszczęśliwy!

— Pan tu zostanie; panu lepiej będzie... — wyjąkała wciąż płacząc Rózia. — Ale ja... ja muszę porzucić to wszystko... takie moje ukochane... i jechać do Warszawy, żeby tam... umrzeć z tęsknoty!

— A ja tu... umrę bez ciebie, panno Rozalio! Bo ja cię...

I zatrzymał się oniemiały i jakby przerażony. W drżących jego wargach i w zaciśniętem gardle uwięzły słodkie, ogniste, wprost z serca płynące wyrazy, któremi chciał wypowiedzieć to, co czuł w tej chwili.

Rózia, jakby zdziwiona brzmieniem jego głosu, nieznanem jej dotąd, spojrzała mu w twarz przez łzy.

Niema, męzka boleść widniejąca z tej twarzy, bardziej jeszcze rozrzewniała i tak już srodze rozżalone jej szesnastoletnie serduszko. Położyła więc drugą rączkę na jego dłoni i rzekła:

— Ja i pana także żałuję bardzo!... i za panem także tęsknić będę... Bo pan był dla mnie zawsze dobry. Bo ja pana bardzo... lubię, kochany panie Jasiu!

Teraz i w oczach młodego dziedzica Bałk, zakręciły się łzy, lecz wywołane jakimś gorzkim zawodem. Zdawało mu się bowiem, iż w tem prostem i tak jasnem wyznaniu rozpłakanej Rózi, było tylko uczucie przyjaźni i... pożałowania.

Biedny „pan Jaś" odczuł boleśnie to słówko: lubię, rzucone mu na pożegnanie, może wieczne.

Dwie grube krople żalu stoczyły się po jego ogorzałych policzkach.

Na widok tych łez, Rózia zadrżała. Nie widziała ich dotąd nigdy na męzkiej twarzy. Zrozumiała, że tylko niezmierna boleść łzy takie wywołać mogła i że powodem tej boleści była... ona.

Odkrycie to, w jednem mgnieniu oka, młoda jej główka przesłała niewinnemu sercu, które snać zaciekawione bardzo... wyjrzało przez modre oczy dziewczęcia, a wyjrzało tak nieostrożnie i tak jawnie, że nawet zrozpaczony Jan spostrzegł je odrazu.

Spostrzegł, i... szalony szczęściem powitał je zaraz na oczach Rózi ustami drżącemi.

Pod dotknięciem tego pierwszego pocałunku miłości, powieki Rózi przymknęły się jak listki czułodrzewu, a główka dziewczęcia przechyliła się i oparła na szerokiej piersi dorodnego młodzieńca.

— Róziu!

— Jasiu!...

Prócz tych dwóch wyszeptanych ledwie wyrazów, oboje nie umieli sobie nic powiedzieć w tej chwili.

I nie dziw! Pierwszy pocałunek miłosny, dany i otrzymany w młodości, przytępia na chwilę najmędrsze nawet głowy i odbiera głos najwymowniejszym nawet ustom!

Więc też Jan i Rózia zamilkli pod silnem wrażeniem pierwszego sakramentu uczucia.

. . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dzieje domu Rotszyldów.

John Revees Amerykanin, wydał niedawno dziełko, w którem opowiedział obszernie powstanie domu znanych tych powszechnie bogaczów, jakim równych cały świat już podobno nie posiada.

Podstawą tej olbrzymiej fortuny, trzymającej w ręku swem finansowe sprawy całej Europy, był Meyer Anzelm Rotszyld z Frankfurtu, któremu landgraf heski, Wilhelm IX-ty, powierzył swoje kapitały, wynoszące 4 miliony talarów, do dowolnego rozporządzenia, byle tylko pieniądze te nie wpadły w ręce Napoleona I.

Meyer Anzelm operował temi sumami w Londynie, gdzie osiedlił się syn jego Natan i złożył sobie przytem poważną fortunę, którą pomnożył znacznie przez stosunki z Wellingtonem. Te ostatnie postawiły go w sytuacyi, dającej olbrzymie naówczas zyski: 150,000 funtów szterlingów rocznie.

Z kolei bogactwo domu Rotszyldów a zarazem ich wpływy wzrosły znakomicie wskutek przekazania temu domowi wypłaty licznych a pokaźnych subwencyi, jakie Anglia płaciła różnym książętom stałego lądu.

Meyer Anzelm, już bogacz, umarł 13 Września 1812 roku, pozostawiając pięciu synów, których imiona są: Anzelm Meyer, Salomon, Natan, Jakób i Karol.

Przed śmiercią stary Meyer zgromadził u łoża wszystkich synów i przy ostatniem pożegnaniu dał im trzy przestrogi i rady zarazem: „Pozostańcie wiernymi zakonowi Mojżesza, bądźcie ściśle solidarni i nic nie poczynajcie bez rady matki, a będziecie najbogatszymi wśród bogatych świata.”

I przepowiednia sprawdziła się. Po śmierci ojca synowie urządzili rodzaj pentarchii: Anzelm zatrzymał dom frankfurcki, Salomon otworzył bliźniaczy „interes” w Wiedniu, Natan w Londynie, Jakób w Paryżu, Karol w Neapolu.

Stara ich matka żyła do 1819 roku, mieszkając zawsze w żydowskiej dzielnicy Frankfurtu, zawsze w ważniejszych sprawach powoływana do rady.

Pierwotnego mieszkania swego za nic nie chciała ona opuścić, ulegając zabobonnej obawie, że przyniosłoby to nieszczęście jej synom.

John Revees w książce swej daje sylwetki tych pięciu synów Meyera, oraz ich następców, starając się unikać pochlebstwa i utrzymać w granicach prawdy.

W szeregu pięciu Rotszyldów, najwięcej interesująca postać, to londyński Natan.

Ciekawe, a mało znane jest zachowanie się jego w czasie bitwy pod Waterloo. Wiedząc, że wynik tej batalii wywrze ogromny wpływ na rynek pieniężny, Natan osobiście pojechał na pole walki, aby jej przebieg obserwować.

Gdy zwycięztwo przechyliło się na stronę wojsk sprzymierzonych, Rotszyld z pośpiechem, na który nie żałował pieniędzy, podążył do domu i stanął w Londynie na 24 godzin wcześniej, niż kuryer urzędowy, wiozący raport o bitwie.

Przybywszy do Londynu, Natan rozpuścił wieść, że Napoleon pobił nieprzyjaciela, co wywołało panikę finansową. Sam Rotszyld sprzedawał papiery, lecz równocześnie przez armię ajentów skupił mnóstwo wartości!

Nazajutrz przyszła wiadomość o zwycięztwie. Kursa poszły w górę, a Natan w ciągu jednego dnia zyskał milion funtów.

Jako charakterystyka pychy milionera, interesującą jest następująca anegdota:

Zdarzyło się, że bank angielski odmówił zdyskontowania wekslu Rotszylda, dając za powód, że nie bierze weksli osób prywatnych.

Natan uczuł się bardzo obrażonym i postanowił zemstę.

Poleciwszy zgromadzić możliwie wielki zapas banknotów angielskich, zjawił się pewnego dnia u okienka kasy banku i zażądał wymiany na złoto jednej papierowej pięciofrankówki. Zmieniono. Natan zwolna a ściśle ogląda każdą sztukę złota, chowa i przedstawia do wymiany drugą pięciofuntówkę, przedłużając tę procedurę, dopóki nie wypróżnił grubego pugilaresu, poczem wyjął drugi portfel z banknotami i t. d.

Stojący przy nim człowiek odbierał złoto.

W ten sam sposób ajenci Rotszylda operowali we wszystkich filiach banku, zajmując czas kasyerom tak, że nikogo więcej załatwiać nie mogli, a zarazem opróżniając kasy ze złota.

Nazajutrz powtórzyła się ta sama historya, a zainterpelowany o powód tej dziwnej manipulacyi, oświadczył Natan, że potrwa ona przez dwa miesiące, albowiem nie myśli trzymać papierów banku, który jego weksli nie przyjmuje do dyskonta.

Tymczasem w dwa dni 210,000 funtów złotem ubyło w ten sposób bankowi z rezerwy i bank zaniepokoił się perspektywą pozbycia się jedenastu milionów złota.

Postanowiono tedy uczynić zadość żądaniu Rotszylda i odtąd weksle jego domu zyskały wstęp do banku angielskiego.

Na starość Natan cierpiał na chorobliwą obawę przed mordercami, którzy w wyobraźni jego ciągle nań czychali a mania ta stawiała go często w przykrych sytuacyach.

Opowieści podobnych znajduje się w książce Reveesa obfitość wielka, a zapewnia autor, że z licznych anegdot o Rotszyldach starał się wybrać tylko prawdziwe, co zresztą sami chyba potomkowie frankfurckiego Meyera ocenićby mogli.

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

W tej łagodnej wymówce tyle było ciepłego, serdecznego uczucia, że Maksym zamilkł zwyciężony i przekonany o niesłuszności swojego żalu.

Zakochani miewają zazwyczaj słuch bardzo bystry, to też słowa pani Levallier nie uszły baczności Lucyana. Serdeczny akcent z jakim były wymówione, rozdrażnił go do najwyższego stopnia, napiętnował mu twarz takim wyrazem goryczy, że pani Maleyra spojrzała nań zdumiona.

W istocie postępowanie Lucyana bywało niekiedy dziwne i zagadkowe. Pani Maleyra przypomniała sobie w tej chwili gwałtowne zmiany jego humoru; nieusprawiedliwiony smutek lub nadmierną wesołość i wzrok płomienny jakim zawsze ścigał Katarzynę. Przyszła jej na myśl pierwsza z nim rozmowa i jak błyskawica przebiegło jej w duszy przypuszczenie, że jeśli ona kocha Lucyana jak matka, on może nie braterskiem uczuciem otacza Katarzynę.

I pożałowała, że tak nieoględnie wtajemniczała go w małżeńskie pożycie państwa Levallier. Takie rzeczy nie należy podciągać pod sąd ludzi.

— Doprawdy to nie do uwierzenia, aby Lucyan kochał się w Katarzynie — myślała. Wychowany razem z nią, miał chyba czas przypatrzyć się jej wadom i wzajemnej niezgodności swoich usposobień. Niezgodność polega na tem, że zbyt jednakowe mieli gusta i upodobania a harmonia w małżeństwie podług mnie wypływa właśnie z zetknięcia się zupełnie odmiennych charakterów. Boże się zlituj jakieby to było stadło. A zresztą cóż za śmieszność, Lucyan wychowanek, żyjący jak brat z siostrą z Kasią, miałby zostać jej mężem?

Sama myśl o tem bawiła panią Maleyra, chociaż zarazem gniewało ją gwałtowne uczucie Lucyana malujące się aż nadto wyraźnie na jego twarzy.

— Panicz pobladł skoro Kasia nazwała męża po imieniu — mówiła sobie w duchu — a to mi się podoba! Jaka też ze mnie nieoględna kobieta, że pozwoliłam na takie zbliżenie. Może się mylę, może przesadzam, nie zdaje mi się jednak; artyści to niebezpieczni ludzie a Kasia taka powabna. Powinnam była pamiętać o tem, że przyjaźń między młodą kobietą a młodym mężczyzną, to pierwszy początek miłości. Czyżbym przypuszczała, że na pogodnem niebie naszego rodzinnego życia, może zjawić się groźna burza?

Katarzyna tymczasem rozpoczęła jakąś więcej interesującą ogół pogawędkę. Nie chciała aby Maksym okazał swą niższość w rzeczach dotyczących sztuki w obecności Lucyana.

Była uprzejmą dla wszystkich, lecz starała się najwięcej przypodobać mężowi. Usiłowała mu dowieść, że źle robi wątpiąc o sobie, pragnęła aby olśniewał rozmową i dowcipem podbudzając go zręcznemi słowy.

Lecz Maksyma nie łatwo było rozruszać. Uprzejmość Kasi rozrzewniała go i sprawiała mu przykrość zarazem.

Przenikliwy jego umysł odgadł zamiary żony, był jej wdzięczny, choć czuł że potrosze litować się nad nim musi, że jej artystyczne upodobania cierpią nie znalazłszy oddźwięku w jego umyśle.

Litowała się i kochała zarazem, była to więc silna, prawidłowa miłość, której mogło zaufać jego męzkie serce. I cóż mu więcej potrzeba było do szczęścia? Dźwięki ukochanego głosu kołysały go mile i zdawało mu się, że samo obcowanie z tak szlachetną i dobrą istotą czyniło go lepszym i wyrozumialszym dla świata.

Rozpogodzony uspokoił się zupełnie; wszystko go zachwycało, nawet i na Lucyana innemi zaczął spoglądać oczami.

— Dlaczegóż i ja nie miałbym go także uważać za przyjaciela? — rzekł sobie.

Długo, niepostrzeżenie przypatrywał się malarzowi i uczuł nagłą ku niemu sympatyę. Lucyan też zasługiwał na nią; znakomitym obdarzony talentem, nie posiadał wad będących przywilejem wielkich ludzi, nie był ani ironiczny, ani zarozumiały. Jedyna rzecz, która się dziwną wydała Maksymowi, był często szczególny wyraz jego oczu, raz zimny i chłodny jak stal, to znów płonący ponuremi blaski. Bezwątpienia człowiek ten musiał cierpieć skrycie.

Maksym powoli domyślał się tajemnicy, którą kobiecem sercem odrazu odgadła Genowefa. Ta ostatnia nie miała już teraz żadnej wątpliwości. Uwagi jej nie uszły chmury, które zasępiały czoło Lucyana ilekroć Katarzyna zwróciła się do męża. Genowefa zrozumiała cel uprzejmości bratowej względem męża, lecz widziała również jasno, że artysta cierpiał okrutnie z tego powodu.

Wsparty o kominek w pobliżu Genowefy, Lucyan milczał w tej chwili. Chcąc patrzyć na Katarzynę, skazał się dobrowolnie na męki, gdyż inaczej nie można było nazwać uczucia jakiem go przejmował widok zobopólnego przywiązania małżonków.

Nie pozostawało mu nic innego jak wmieszać się w tłum obojętnych osób i żywić się okruchami szczęścia. Kiedyś duma jego byłaby się oburzyła na coś podobnego, dziś dla tej bezwiednej jałmużny uczucia, gotów był znosić boleść i upokorzenie.

Chwilami duch jego buntował się przeciw okrutnemu losowi, lecz silna wola nakazywała mu cierpieć w milczeniu.

Kochał ją, gdy była celem jego marzeń i teraz kochać nie przestanie choć to już jest tylko widmo, mara jego wyobraźni spowita we mgły oddalenia, które ziemskiej istocie nadają pozór bóstwa.

Ona będzie dlań zawsze natchnieniem, muzą, ideałem, uwielbienie jego nie skala się nigdy żadnem ziemskiem uczuciem. Wysoko po nad kałużami tego świata, dusze ich łączyć się mogą tylko bezcielesnemi węzły.

— Panie—szepnął w tej chwili słodki głos Genowefy.

Dziewczę pragnęło oderwać go od przykrych marzeń i zamilkło onieśmielone jego chłodem. Lucyan podniósł na nią wzrok zamyślony. Genowefa zbierając całą odwagę zaczęła.

— W pracowni pana spędziłam rozkosznie kilka godzin. Żyjesz pan jakby w zaczarowanym pałacu.

— Czy pani także jesteś artystką?

— Bynajmniej, lecz uwielbiam wszystko co Bóg i ludzie zrobili pięknego.

— A zatem jesteś pani artystką duchem a to wszystko jedno.

— Nie sądzę, gdyż mojego uwielbienia nie umiem dokładnie wyrazić i z pewnością mylę się często co do artystycznej wartości przedmiotu, gdyż idę tylko za popędem pierwszego wrażenia, które mnie pociąga lub odpycha od dzieła. Są rzeczy co mnie wzruszają do głębi serca, rozumiem doskonale tajemną ich mowę lecz nie potrafiłabym ją powtórzyć nikomu.

Lucyan przypatrywał jej się uważnie podczas gdy szeptała raczej niż wymawiała powyżej przytoczone zdania.

Rysy twarzy owiane wyrazem tęsknoty i śliczna, drobna postać dziewczęcia wdzięcznym ruchem zwracająca się ku niemu, pociągały go mimowolnym urokiem.

Przypomniał sobie, że ona pierwsza odgadła jego cierpienia i ogarnęła go nieprzezwyciężona chęć uczynienia jej swoją powiernicą.

Czuł dla niej szacunek i sympatyę i gdyby tak mógł zwierzyć się przed nią szczerze, jakążby to się stało ulgą dla jego zbolałego serca. Ta dziewicza dusza odczułaby jego katusze, nie byłby już wtedy tak osamotniony jak parya w obec tak szczęśliwych ludzi.

— Tajemnicza mowa, o której pani wspomniałaś, bywa zrozumiałą tylko dla serc wybranych — rzekł. — Pani bezwątpienia należysz do ich liczby, dlatego to zapewnie raczyłaś się zająć nawet tak małoznaczącą jak ja istotą. Lecz strzeż się pani zbytecznej szczerości, choćby przez wzgląd na mnie, który zapewne straciłbym na tem poznaniu.

Purpurowy rumieniec wybiegł na lica Genowefy, z trwogą spoglądającej na swego sąsiada.

— Niechno mama patrzy jak Genowefa bałamuci Lucyana — odezwała się ścicha Katarzyna do matki.

Pani Maleyra spojrzała uważnie na córkę. Zatrwożona jej wyobraźnia w każdem słowie widziała grożące jej niebezpieczeństwo.

Zachowanie się Lucyana i nienaturalna wesołość Katarzyny przybierały w jej oczach groźne rozmiary. Usnuła naprędce w głowie cały plan postępowania i skinęła na zięcia, aby się bliżej przysunął.

— Cobyś też powiedział na małżeństwo Lucyana? — spytała go nagle.

— Co za dziwne pytanie — odparł Maksym zdziwiony. — I z kimże to mama chce go żenić? Czyżby z Genowefą.

— No, przecież tu dziś nie ma innej kandydatki do małżeństwa...

— Ale zkądże ta myśl, siostra moja to jeszcze dziecko — rzekł Maksym.

— Mylisz się mój zięciu, jedna chwila zamienia dziecko w kobietę.

— Wszystko to dobrze, lecz pomyśl matko, że młodzi nie znają się prawie wcale.

— Gdyby się znali zbyt dobrze nie pokochaliby się z pewnością, nieprawdaż Kasiu?

— Bezwątpienia, mamo.

— Gdyby długa znajomość była koniecznym warunkiem miłości, Lucyan musiałby był zakochać się w twojej żonie, gdyż nie zaprzeczysz, że godną jest uwielbienia.

Pan Levallier uśmiechnął się dobrodusznie; teściowa nie powiedziała mu nic nowego.

Pani Maleyra uszczęśliwiona, że w tak zręczny sposób ostrzegła zięcia, rozwodziła się dalej nad przymiotami córki, córka zaś nie spuszczała z oka Lucyana i Genowefy.

Gdy pani Maleyra wspomniała o małżeństwie Lucyana, Katarzyna zadrżała mimowolnie. W tej chwili przekonała się jak uszczęśliwiała ją miłość tego przyjaciela lat młodzieńczych. Uważała ją za wyłączną swą własność do której żadna inna kobieta rościć prawa nie mogła. Rezygnacya, szacunek i milczenie artysty sprawiały jej niewymowną radość; lecz gdyby miał zapomnieć, na to nie zgodziłaby się nigdy, krew burzyła się w niej na samo podobne przypuszczenie.

Przed chwilą, radość swą i upojenie uważała za wynik spokoju sumienia. Poezya, geniusz i miłość musnęły ją swemi skrzydły, ona jednak nie doznała zawrotu głowy, nie poruszyła się nawet aby je przykuć do siebie.

Mogła więc być dumną z siebie, mogła swobodnie uśmiechać się do męża, który ani się domyślał, że postępowała śmiałym krokiem nad brzegiem przepaści, od której z pogardą odwracała oczy.

Owinęła się poczuciem spełnionego godnie obowiązku jakby królewskim płaszczem, i to uczucie promieniało z jej twarzy takim czarownym blaskiem.

Wtem nagle zdarto z jej oczów ułudną zasłonę z po za której wyłoniła się naga prawda. Poznała swoją omyłkę, poznała jakim fałszem tumaniła swój umysł.

Serce jej zaczęło bić gwałtownie, usta paliła gorączka. Co znaczył ten wewnętrzny niepokój? Dlaczego Genowefa wydawała jej się dziś piękniejszą jak wczoraj?

Pani Maleyra spostrzegła ze zdumieniem, że zięć jej nie domyśla się niczego.

— A to naiwny, człowiek z tego Maksyma—powiedziała sobie w duchu — zapraszał go przecież żeby był codziennym u nich gościem. Nie pojmuję takiego postępowania. Lepiej nie potrafię go ostrzedz chyba musiałabym mu powiedzieć: „On nie u ciebie tylko u twojej żony bywa."

— Ah Boże! że ja też w takiej trwodze i niepewności muszę odjeżdżać aż do Nicei — westchnęła w myśli biedna kobieta.

Na chwilę przed pożegnaniem odprowadziła córkę na stronę.

— Kasiu — rzekła — mam ochotę zabrać cię z sobą, cóż ty na to?

— Pojadę chętnie, jeżeli tylko Maksym zgodzi się abym odjechała.

— Wiesz dobrze, że Maksym nie zezwoli pod żadnym pozorem żebyś jechała bez niego. A jednak najlepiejbyś zrobiła odjeżdżając na czas jakiś.

— I dlaczegóż to moja mamo?

— Dlatego, że kochasz Lucyana.

— Mamo!...

— Nie zapieraj się, łudzisz sama siebie, wolę więc otworzyć ci oczy.

— Zkądże przyszło mamie na myśl podobne przypuszczenie?

— To nie przypuszczenie, to pewność. No, nie chcesz ze mną jechać?

— Nie...

— Stanowczo?

— Stanowczo.

— Czyń jak chcesz, w każdym razie odjeżdżam spokojniejsza, gdyż zwróciłam uwagę twoją na grożące ci niebezpieczeństwo. Jesteś moją córką

zatem ufam w twą prawość i poczucie honoru, które nauczyłam cię cenić nad wszystko. Być może że nie umiem rad moich w barwne przybrać słowa, lecz wiesz, że podyktowało mi je szczere macierzyńskie uczucie. Bądź zdrowa Kasiu, zostawiam cię jeszcze dość spokojną, pamiętaj, że gdybym za powrotem nie zastała wszystkiego jak być powinno, umarłabym chyba z żalu i boleści.

— Możesz mamo odjechać zupełnie spokojną— upewniała ją Kasia.

Za kilka chwil pani Maleyra dążyła już na kolej.

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd literacki.

Szkice przez Adama Szymańskiego. Tom pierwszy. Petersburg, 1887 rok.

Syberya ma to do siebie, że chcąc w sposób zajmujący przedstawić jej ogrom, wspaniałe zjawiska przyrody, na wpół dzikie obyczaje, trzeba zżyć się z mieszkańcami owych podbiegunowych krajów, zakopać w odwieczne śniegi, zapuścić do nieprzebytych tajg, poznać tajemnicze siły tego o lodowatych konturach olbrzyma; inaczej bowiem wszelkie choćby z talentem nawet skreślone opisy czasowego turysty będą mdłe, bezbarwne i nieodpowiadające bynajmniej wielkości zadania. Rzecz prosta, podróżny jadący szerokim traktem, widzi tylko wsie dość schludne, miasteczka dość ruchliwe, cywilizacyę dość podobną do europejskiej.

Otulony w ciepłe futro lub grzejący się w izbie pocztowego domu, nie zazna potęgi podbiegunowego mrozu, patrząc na postacie podobne do innych widzianych dawniej ludzi, nie sięgnie wzrokiem w owe tajemne przestrzenie, kędy ustają wszelkie objawy życia społecznego. Mieliśmy tego dowody. Uczeni etnografowie pełni erudycyi przyrodnicy, przelecieli pocztowemi końmi kilkadziesiąt stopni szerokości geograficznej, zapisali swoje spostrzeżenia a więcej jeszcze szczegóły z drugiej lub trzeciej nawet epoki zaczerpnięte i dzieła ich legły w pyle zapomnienia; skromni zaś pracownicy skreśliwszy epizody z własnych dziejów wyjęte, zyskali powodzenie i uznanie wśród szerokiego koła czytelników. Dlaczego? Bo w ich opisach drgało tętno życia, kipiała krew, dźwięczała rzewna nuta tęsknoty.

Szkice pana Adama Szymańskiego do tej ostatniej kategoryi należą.

Wprawdzie pan S. daleki od chęci opisania Syberyi we wszystkich szczegółach, ogranicza się na przedstawieniu czytelnikowi kilku przez siebie zblizka zaobserwowanych sylwetek, ale postacie jego mają wsobie tyle prawdy, naturalności, tchną taką potęgą grozy, iż czytelnik mając je przed oczami przenosi się myślą w te śnieżyste strony i odczuwa wszystko czego autor doznawał.

W książce jaką mamy pod ręką, zamieszczono cztery opowiadania: Srul z Lubartowa, Pan Jędrzej Krawczykowski, Maciej Mazur, Stolarz Kowalski i Przewoźnik.

W pierwszem z nich, najudatniejszem, skreśloną jest tęsknota biednego żyda za rodzinnemi stronami tak rzewnie a zarazem z taką naiwną prostotą, iż najmniej nawet wrażliwy na ludzką niedolę, uczuje łzy cisnące się do oczów przy czytaniu wspomnianego obrazku. W ogóle tęsknota za krajem stanowi główne tło wszystkich opowiadań, na owem zaś tle niby na szarym podkładzie smutku, bólu i goryczy mistrzowską ręką malarza podłożonego, wyrastają ciężkie katusze skazańców i opisy potężnych zjawisk przyrody podbiegunowej. Mróz mianowicie, owa nieznana południowych i umiarkowanych stref mieszkańcom męczarnia, wystawiony tu jest w całym ogromie swej nieprzebłaganej surowości.

Ogromna ziemia jakucka, mówi autor, od dwóch miesięcy zamarzła w żelaznym uścisku najsurowszej zimy na świecie. Mrozy wielkie, niezmierzone, dla oznaczenia którego nasz język wyrazów nie ma, wionęło na ziemię takiem tchnieniem lodowatem, takim mrozem przejmującym, że zdawało się, iż życie wszelkie zamiera na ziemi tej nieszczęsnej. Zima jednakże, gdy się rozwinie należycie, nie szaleje już jak to u nas bywa, ale z majestatyczną powagą siły nie znającej oporu, mrozi i zabija spokojnie. Czułe na najlżejsze drganie powietrze rozbrzmiewa powoli szczególnemi dźwięki. Śnieg nie chrzęści i nie skrzypi już lecz dźwięczy jakoś przeraźliwie, metalicznie; wydychane powietrze z sykiem wydziela z siebie wilgoć krzepnącą w mikroskopijne, śnieżne kryształy. Wśród ciszy powszechnej rozlega się coraz głośniej okropna muzyka mrozu. Przywykłe do dziękczynnego gwaru stworzeń ucho ludzkie, z osłupieniem przysłuchuje się suchem i ostrem dźwiękom śmierci i zniszczenia, zwycięzkiej a ponurej pieśni nocy i zimna.

„I mijają dnie i noce, mijają tygodnie i miesiące, a mróz nigdy nie słabnie, nigdy się nie zmniejsza. Przyzwyczajony do pobłażliwej i zmiennej zimy zachodu człowiek, męczyć się zaczyna tą ciągłą i nieskończoną walką z nigdy nie słabnącym, zawsze czujnym wrogiem.

„Siły ciągle naprężone wyczerpują się powoli. Człowiek widzi, że pozostawiony sam sobie nie wytrwa w zapasach nierównych.

„I słońca i ciepła i dnia i światła pragnie wtedy dusza stęskniona, jak tylko pragnąć może konający... Nie państwa, nie mienia, życia by oddał połowę, krwi utoczył za to słońce, ale słońce daleko i coraz dalej, coraz to prędzej ucieka na zachód, a mróz coraz większy...”

Dodatniemi stronami rozbieranego przez nas dziełka jest dokładne z fotograficzną niemal ścisłością skreślenie charakterów, jakoteż potęga obrazowania! ujemnemi zaś zaniedbany częstokroć styl, używanie wyrażeń trywialnych np. kiepsko zamiast licho (nb. wtedy gdy autor mówi sam do siebie), zbyt blizkie pokrewieństwo przedstawionych typów, a nadewszystko przechodzący wszelkie pojęcie nawet w najbardziej zniechęconych do świata ludzi pessymizm. Takiego bezwzględnego pessymizmu nie zdarzyło mi się spostrzedz dotąd u żadnego z pisarzy. Wśród owych pięciu nieszczęśliwych, stęsknionych za krajem, spłakanych, zrozpaczonych, nie ma ani jednego, któryby uchyliwszy pokornie czoło przed karzącą go prawicą Wszechmocnego rzekł: „Cierpię bom zawinił. Panie spraw by doznane katusze okupiły ciężkie grzechy moje!” lecz oni wszyscy miotają się w bezsilnym bólu, zalewają trunkiem swe troski i... bluźnią!

Począwszy od stolarza Kowalskiego, który wyuczył swojego psa *szczekać na Pana Boga* (!) aż do Zdarskiego przewoźnika, który powiada, że aby pozyskać szczęście trzeba zostać... podłym, wszyscy bez wyjątku są bluźniercami. I o dziwo! pomiędzy nimi, pomiędzy chrześcianami, znajdujem jednego żyda, chusytę, nieprzeklinającego Stwórcy, nieponiewierającego świętem uczuciem miłości bliźniego, a przecież prawo mojżeszowe powiada: „oko za oko, ząb za ząb!” Kiedy przeciwnie nauka Chrystusa każe przebaczać nieprzyjaciołom, kochać tych, którzy nam źle czynią. Nadto gdy pomyślimy, że oni wszyscy z wyjątkiem znikczemnionego opoja Zdarskiego, popełnili morderstwa, uczucie litości nad ich strasznym losem, ustępuje miejsca zgrozie i oburzeniu. Za występkiem idzie kara, tak jest, tak być musi, inaczej bowiem sprawiedliwość Bozka i ludzka byłaby czczem brzmieniem, nieurzeczywistnioną mrzonką, oddźwiękiem bez echa.

Widząc cierpienie choć zasłużone złoczyńcy, można nad jego męczarniami uronić łzę współczucia, nigdy jednak nie wypada okalać skroni znikczemnionych aureolą męczeństwa.

Największą w nas sympatyę obudza Srul z Lubartowa. Dlaczego? Bo on nie przeklina, nie złorzeczy, nie zalewa tęsknoty wódką, lecz rozrzewniony rozmową o kraju, pyta nieśmiało czy też tam jeszcze szumią topole nad brzegami Wisły, czy słowiki wywodzą swe pieśni, a stada wróbli świegoczą wesoło? Poczciwy żyd! czemuż tamci nie wzięli z niego przykładu?

Ludwik Niemojowski.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Echo muzyczne, teatralne i artystyczne, kierowane świadomością potrzeby przysporzenia teatrom trzeciorzędnym repertuaru, któryby odpowiadając warunkom artystycznym i literacko-językowym, przemówił zarazem ze stanowiska chwili do odpowiedniego audytoryum, redakcya „Echa” ogłasza niniejszem

Konkurs na sztukę ludową.

Nie krępując autorów ani przedmiotem, stanowić mogącym wesołą lub smutną fabułę sztuki, ani jej kolorytem, redakcya zwraca jedynie uwagę na potrzebę liczenia się z następującemi warunkami:

1) Sztuka powinna być spektąklową, t. j. powinna zapełnić cały wieczór, obejmować zatem ma od 3 do 6 aktów, łącznie z obrazami i zmianami, a nadto odpowiadać wymaganiom cenzuralnym.

2) Sztuka językiem swym, treścią i tendencyą, trafiać powinna do duszy publiczności mniej wykształconej, stanowiącej przeważnie audytoryum teatrów ogródkowych. Forma sztuki: dramat ludowy z podkładem stosunków wiejskich, mieszczański z podkładem stosunków rzemieślniczych, melodramat tendencyjny, komedyo-opera, obraz ze śpiewami i tańcami, pozostawia się w zupełności wyborowi piszących.

3) Pożądanem byłoby wprowadzenie do sztuki pierwiastku efektownej malowniczości, któryby kształcąc zmysł estetyczny widzów z teatrem nie obeznanych, umożliwiał zarazem wystawienie sztuki na scenach mniej zasobnych.

4) Wszelkie przeróbki z powieści, nowel i dramatów, stanowczo się wyłączają.

Manuskrypta sztuk, pisane wyraźnie, adresować należy do redakcyi „Echa"; zaopatrzone one być mają dewizą, powtórzoną na kopercie zapieczętowanej, zawierającej nazwisko autora.

Nadesłane na konkurs utwory ocenione będą przez komitet, w którym obowiązki sędziów przyjąć raczyli pp. D-r Piotr Chmielowski, Teodor Jeske-Choiński, Adolf Dygasiński, Felicyan Faleński, Maryan Gawalewicz, Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), Kazimierz Kaszewski, Józef Kotarbiński, Wincenty Rapacki, Jan Tatarkiewicz, Kazimierz Zalewski, oraz ze strony redakcyi „Echa" Aleksander Rajchman.

Najlepsza ze sztuk nadesłanych na konkurs, to jest posiadająca obok zalet literacko-artystycznych i tendencyi społecznej, cechy sceniczności, oraz łatwości wystawienia, premiowaną będzie nagrodą rs. 300 (trzysta), przyczem wszelkie prawa w obec druku i sceny, pozostają przy autorze.

Termin do nadsyłania utworów oznacza się na dzień 15 Maja 1888 roku, godzinę 12 w południe. Gdyby żadnego z nadesłanych w tym terminie utworów do wystawienia na scenie zalecić nie było można, termin powyższy zostanie przedłużonym.

Pisma dla rzemieślników. P. S. Skibiński zwrócił się do redakcyi „Gazety Rzemieślniczej" z propozycyą wydawania dodatku dla ślusarzy, praktycznie, fachowo a przystępnie redagowanego. Podobne pismo, nader starannie prowadzone, wychodziło już w Warszawie, ale upadło z braku prenumeratorów, redakcya więc „Gazety Rzemieślniczej", przychylając się najchętniej do projektu, podejmuje się wydawnictwa dodatku dla ślusarzy jedynie pod warunkiem, że do dnia 20 Listopada r. b. zbierze się 300 prenumeratorów Gazety z dodatkiem. Przytem nadmienia, że gotowa jest wydawać dodatki dla wszyskich zawodów, byleby znalazła się liczba prenumeratorów dostateczna do pokrycia nakładu.

Rzemieślnicy polscy powinniby skorzystać ze sposobności i pomoc „Gazety Rzemieślniczej" przyjąć. Organa specyalne, byle umiejętnie redagowane, wiele korzyści przynieść mogą, a najtrwalsze i najsympatyczniejsze będą wtedy właśnie, gdy wychodzić będą kosztem tych, którym służyć powinny.

Zgromadzeniom cechowym nastręcza się sposobność okazania, że umieją popierać nietylko cła i ograniczenia swobody pracy, ale rozwój rzemiosł i ukształcenia w kraju.

Śniegi. Wyjątkowe zimno panuje od dni kilku w zachodnich Niemczech. W dolinie Nekaru w Wirtembergii spadły śniegi, a mróz dochodzi do 5 stopni.

Od niepamiętnych czasów zimna takie nie panowały podczas winobrania. Takież wieści o mrozach dochodzą z Turyngii, Szwabii, prowincyi Nadreńskich i Palatynatu.

Przyjęcie przez Papieża pielgrzymów francuzkich w liczbie przeszło 1,800, było nader uroczyste i wzruszające. O 7 rano pielgrzymi udali się wszyscy do bazyliki św. Piotra i słuchali tam cichej mszy, odprawionej przez głównego wodza pielgrzymki, kardynała Langénieux, arcybiskupa z Reims.

O 11 pielgrzymi, posiliwszy się i przebrawszy, wrócili do Watykanu; ale w deszcz ulewny połowa ich wracać musiała piechotą, z powodu bezrobocia dorożkarzy, zniechęconych tem, że pielgrzymi używali omnibusów, tym razem jednak niedostatecznych. Posłuchanie naznaczone było w Książęcej sali, a wzdłuż królewskich schodów i sali, ustawiono straż szwajcarską z halabardami, w malowniczym, wielobarwnym stroju, wymyślonym przez Michała-Anioła.

Wchodząc, pielgrzymi porozwijali chorągwie oraz znaki swych cechów i stowarzyszeń, których się ukazało dwieście. Były między niemi bardzo ozdobne i kosztowne. Najważniejsze i najpiękniejsze z tych chorągwi ustawiono około tronu papiezkiego. Tłok był niezmierny, bo do pielgrzymów-robotników i do towarzyszących im księży i kobiet, których liczono razem przeszło 2,000, przyłączyło się jeszcze z jakie 1,000 francuzów, mieszkających w Rzymie. Nie mogli się więc wszyscy pomieścić w sali Książęcej i Królewską także napełnili. Hr. de Mun, poseł francuzki do izby, wstąpił wtedy na podwyższenie, dla duchowieństwa urządzone i prosił głośno pielgrzymów, aby się wstrzymali od wszelkiej demonstracyi na cześć Papieża, który nie życzy sobie ani okrzyków, ani oklasków, lecz głębokiego milczenia.

Jakoż najgłębsze panowało, kiedy o samem południu, poprzedzony strażą szlachecką, dworem swym duchownym i świeckim, oraz szesnastu kardynałami, Ojciec św. wszedł i zasiadł na tronie. Blade, ascetyczne oblicze, siwa głowa i biała postać Leona XIII odbijały, jak figura ze śniegu, na ciemno czerwonem tle aksamitnej kotary, rozbitej między tronem a baldachimem. Wkoło niego, na podwyższeniu, stanęli kardynałowie tudzież dwór cały.

Wówczas kardynał Langénieux, arcybiskup z Reims, przystąpił do tronu i krótko przemówił, przedstawiając Ojcu św. przytomnych księży, przemysłowców, właścicieli i zawiadowców fabryk, oraz liczną rzeszę wszelkiego rodzaju rzemieślników i robotników, zgromadzonych w obu salach i reprezentujących wszystkie prowincye Francyi. Po kardynale zabrał głos hr. de Mun i odczytał adres zwięzły, dobitny, wolny od politycznych przymówek i żądający tylko odrodzenia ręcznej pracy.

Ojciec św., wysłuchawszy adresu, powstał z tronu i dźwięcznym a wyraźnym głosem i doskonałą francuzczyzną, przedstawiwszy działalność Kościoła w kierunku opieki nad klasami ubogimi i roboczemi i polecania bogatym i możnym obowiązków wspomagania braci swych niższego stanu, dodał w końcu:

„Dlatego najdrożsi synowie, nie dajcie się uwodzić złudnemi obietnicami apostołów bezbożności i kłamstwa. Przychodzić będą do was ze zwodniczą powierzchownością, usiłując pochlebstwy swemi oderwać was od Kościoła i od wykonywania waszych religijnych obowiązków. Będą się starali wciągnąć was do swych kryjomych schadzek i podniecać was będą do imania się gwałtownych środków dla poprawienia waszego losu ze szkodą społeczeństwa całego. Strzeżcie się ich i zatykajcie sobie uszy na ich szkodliwe podszepty. Słuchać ich i naśladować, byłoby to z waszej strony gotować sobie nader gorzkie rozczarowanie i śpieszyć do zguby.

„Pozostańcie owszem, synowie kochani, wiernymi Bogu i jego Kościołowi. Zachowajcie i wyryjcie w sercach waszych zbawienne nauki wiary i moralności chrześciańskiej. Niech te nauki i zasady służą wam za prawidło we wszystkich czynach waszego życia, a znajdziecie w nich w godzinach utrapień i frasunków zachętę, siłę i pociechę, z widokiem dóbr przyszłego żywota w nagrodę."

Potem Ojciec święty kończąc, błogosławił przytomnych, ich rodziny i przyjaciół, oraz wszystkie rzemieślnicze i robotnicze spółki we Francyi, ich naczelników, dobrodziejów, nadewszystko zaś tak zwane dzieło kół robotniczych katolickich, a wreszcie Francyę całą.

Wtedy wszyscy upadli na kolana, cisza zapanowała jak makiem posiał, a po błogosławieństwie Papież, który był bardzo znużony, przypuścił do ucałowania stóp swoich naczelników tylko pielgrzymki.

Na drugi dzień Ojciec św. przyjmował pielgrzymkę północną, w której było przeszło sześciuset pielgrzymów. Papież przechadzał się między nimi, powtarzając: *Mes chers ouvriers* i przypinał każdemu rzemieślnikowi i robotnikowi z osobna własnemi rękami na piersiach srebrny medal, na którym z jednej strony wyobrażona jest Najświętsza Panna a z drugiej święty Józef ze słowami: *Ecclesiae patronus*. Robotnicy byli niewymownie rozczuleni.

Następnego dnia Ojciec św. przyjmował południowców, a potem dał osobne posłuchanie księżom francuzkim i kobietom.

Podczas wielkiego niedzielnego posłuchania, policya włoska i straż miejska wzorowy porządek utrzymywały na placu św. Piotra, starając się we wszystkiem usługiwać gościom. Lud także wszędzie przyjmował ich albo sympatycznie, albo obojętnie i zbiegowisk nigdzie nie było.

Kuryer Poranny ogłosił list pana Felicyana P. z Pskowa, następującej osnowy:

„Panie Redaktorze!

Jeżdżąc niedawnemi czasy po północno-zachod. gub. zajechałem też do wsławionej przez Oleńkę Billewiczównę, wioski Wodokty, w której mieszka obecnie obywatel pan J. Bitowtt.

W czasie mego pobytu w Wodoktach, zdarzył się o kilkadziesiąt wiorst ztąd wypadek pokąsania małego chłopczyka wiejskiego, przez psa szalonego.

Psa zabito, chłopiec zaś na trzeci czy czwarty dzień dostał pierwszego paroksyzmu, podczas którego ojciec przywiózł go do pana Bitowta, jak się okazało, mającego sławę leczenia wścieklizny.

Pan Bitowtt dał przy mnie chłopcu podwójną dozę swego lekarstwa i skutek okazał się zdumiewający.

Chłopiec wyzdrowiał.

Od samego pana B. i włościan okolicznych dowiedziałem się, iż leczeniem wścieklizny zajmuje się on już lat dwadzieścia kilka i że tylko raz jeden miał w swej okolicy wypadek, iż nie pokonał choroby, ale to z tego powodu, że pacyent zwrócił użyte lekarstwo.

Ze względu na nieoceniony pożytek, jaki przynieść może praktykowany przez p. B. sposób leczenia, podaję do publicznej wiadomości, *że p. B., jak mi sam oświadczył, gotów zgodzić się na wypróbowanie swego lekarstwa, mianowicie pragnie aby mu powierzono w jakim szpitalu chorego na wściekliznę człowieka, a on go w kilka dni wyleczy.*

Warto byłoby zwrócić na ten fakt należytą uwagę i wypróbować dane lekarstwo, a tymczasem,

na wypadek pokąsania kogo, proszę oświadczyć interesowanym, że pan B. leczy bezinteresownie, a adres jego: Gubernia Kowieńska powiat Poniewieżski majątek Wodokty.

Wioska ta odległą jest od Poniewieża o trzy mile; że zaś do Poniewieża idzie z Kałkun droga żelazna, komunikacya więc nie jest trudną.

Proszę przyjąć zapewnienie prawdziwego szacunku z jakim pozostaję.

Sługa

Felicyan P...ski.

Pisma niektóre nasze arcy pobożne, jak: Słowo, Niwa, Rola i t. d., zawsze przedstawiają lud nasz jak gromadę wyrzutków społecznych, niegodnych nawet postronka na którymby go powieszono. A jednak nie musi on być tak ostatecznie złym, skoro umie być wdzięcznym co i między nami rzadko się spotyka.

Oto „Wiek" pomieścił w tych dniach następujące podziękowanie:

Włościanie wsi Dołhobrody, położonej w powiecie Bialskim, gubernii Siedleckiej, dotknięci niedawno klęską pożaru, szczerem sercem dziękują panom sąsiadom i współobywatelom za hojną pomoc i poratowanie w nieszczęściu.

Wioska spłonęła po zbiorach, a więc całoroczna praca z dymem poszła.

Nieszczęście tem większe, że w chwili pożaru pola nie były jeszcze obsiane, a najzamożniejsi nawet włościanie nie mogli dostać na razie ani ziarna do siewu, ani pieniędzy na kupno.

Sąsiedzi bliżsi i dalsi zsypali sporą ilość zboża, z którego dwudziestu sześciu gospodarzy otrzymało całkowity zasiew, a reszta odpowiednią pomoc. Chociaż dobry uczynek nie potrzebuje rozgłosu, jednak poratowani w nieszczęściu pogorzelcy pragną publicznie podziękować tym wszystkim, od których pomocy doznali.

List powyższy otrzymał „Wiek" od pana L. R. z Dołhobród, który nadmienia, że napisał to podziękowanie w imieniu i na wyraźne żądanie włościan.

Pierwsza praktykująca prawniczka. W Zurychu otworzyła biuro porady prawnej pani Emilia Kempin, doktorka prawa. Jestto pierwsza kobieta, która samodzielnie rozpoczęła praktykę prawną, wszakże stawanie w sądzie nie zostało jej przez władze dozwolone.

Liczba studentek na wszechnicach szwajcarskich zmniejsza się znacznie; Ruskich zwłaszcza jest prawie o połowę mniej, niż przed dziesięciu laty. Gdy np. uniwersytet w Zurychu około 1875 roku liczył przecięciowo 80 studentek, obecnie posiada ich zaledwie 40. Czyżby i studya uniwersyteckie kobiet podlegały modzie?

Olbrzymi spadek. Zmarły w tych dniach bankier londyński baron Stern, pozostawił rodzinie swojej majątek, wynoszący 6 milionów funtów szterlingów.

W mieście X. był oberżysta bardzo ugrzeczniony, którego gościnność i pamięć o podróżnych niezmiernie w pewnem towarzystwie wychwalano.

— Rzeczywiście — odezwał się jeden z obecnych — troskliwość o gości aby pod każdym względem w prawach swych równo byli obdzieleni, posuwa pan oberżysta do tego stopnia, że gdy z ostatniego jarmarku skutkiem straszliwej burzy, tłum niezwykły do jego zajazdu zaczął się gromadzić, on zobaczywszy to zaczął wołać rozpaczliwym głosem:

— Szanowni państwo, na miłość Bozką wstrzymajcie się, bo w żaden sposób nie wystarczy w moim zajeździe pcheł dla całej kompanii.

* * *

Z teki badacza. Mężczyźni domyślają się wszystkich powabów w pięknej kobiecie... nawet powabów rozumu, wtedy gdy ich zupełnie nie ma. I mają racyą, bo cóż jest szpetniejszego nad głupotę, wyglądającą z pięknego oblicza?

Można być bardzo ładną kobietą, nieposiadając klasycznej piękności.

Są piękności nieznośne. Nikt im piękna odmówić nie może, a jednak chętnie ucieklibyśmy od nich na koniec świata. Są to boginie, których posągowe twarze nigdy nie oświetliła inteligencya, ani uczucie, ani... namiętność. Takie piękności zwykle spotykamy w salonach. Są to gracye emaliowane, porcelanowe, szkoda, że nie są z wosku, bo stopniałyby przynajmniej.

* * *

Baletniczki paryzkie podniosły wielki bunt. Pewien fabrykant gorsetów, zachwalając swój towar w gazeciarskich ogłoszeniach, dodał na końcu szumnemi wyrazami, że cudne kształty, jakie publiczność podziwia w teatrze u artystek baletu, są dziełem jego maszyn do szycia, fabrykujących gorsety. Ogłoszenie to poruszyło cały świat nadobnych cór Terpsychory, które utworzyły komitet, wybrały adwokata i zaskarżyły niedyskretnego fabrykanta, twierdząc przedewszystkiem, że do tańca nie noszą wcale gorsetów.

Fabrykant zawezwany przed kratki sądowe zdumiał się niepomiernie, oświadczył gotowość do porozumienia na drodze polubownej i zgodził się na umieszczenie odpowiednich artykułów rehabilitujących wdzięki baletnic. Na zakończenie zaś ofiarował prezesowej komitetu... gorset atłasowy, który został z wdzięcznym uśmiechem przyjęty.

* * *

O oszczędności Moltkego opowiada „Schweidnitzer Ztg." następującą zabawną anegdotę. Wódz armii niemieckiej przybył raz, bawiąc w swej posiadłości, do szynkarza i zażądał piwa, którego szklanka kosztuje 5 fenigów. Gospodarz dał mu piwo lepszego gatunku a gdy Moltke wręczył 10 fenigów, nie wydał mu reszty.

Feldmarszałek nic nie mówiąc, odjechał. Ale za kilka dni wstąpił znowu i wypiwszy kufelek piwa, powiedział:

W czasie ostatniej mej bytności dałem 10 fenigów, a że nie otrzymałem reszty, więc i dzisiejsze piwo jest zapłacone.

— Ale to piwo lepszego gatunku.

— Ja żądałem piwa pospolitszego.

* * *

Kto doznać chce prawdziwej radości, niech kupi sobie dom i zaraz go na drugi dzień sprzeda. W dniu kupna bowiem, dozna radości, że doszedł do własności, w dniu zaś przedaży że się pozbył kłopotu, który już mu stanął kością w gardle.

ROŻNE MYŚLI.

Łatwiej jest zbogacić się tysiącem cnót, niż poprawić z jednego błędu.

La Bruyere.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Historyi Powszechnej K. F. Beckera, wyszedł zeszyt 77 i zawiera dalszy ciąg dziejów państwa Rossyjskiego a mianowicie panowanie Piotra Wielkiego i jego następców. Nakład Olawskiego. Cena zeszytu 10 kop.

Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki wyszły następujące książki:

Metoda nauki Rysunku, oparta na zasadach naukowych, z 43 rysunkami w tekście i 26 litografowanemi tablicami. Napisana przez T. Fliuzera. Przekład dokonany staraniem Przeglądu Pedagogicznego.

Kalendarz Powszechny na rok 1888. Oprócz zwykłej części kalendarzowej zawiera piękne poezye i powieści znanych pisarzów jak: Konopnicka, Miriam, Klemens Junosza, Dygasiński, Władysław Ordon, oraz życiorys J. I. Kraszewskiego opracowany przez P. Chmielowskiego i kilka artykułów z handlu i gospodarstwa rolnego przez Martynowskiego i Zientarskiego. Przytem wydawnictwo jest staranne, ozdobione kilku rycinami, a dział informacyjny obszernie rozwinięty. Jako premium bezpłatne dodają się jeszcze dwa kalendarze ścienny i kieszonkowy.

PRZYJACIEŁ DZIECI

numer 45 wyszedł z druku i zawiera:

Widok góry Grimming (drzew). — Wśród burzy (wiersz). — Na smoczej górze. — Rys historyczny działalności Piotra Wielkiego. — Ursuff (drzew.) Ayacucho (z drzew.) — Mała książeczka.—Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Opowiadanie o kogucie Szałapucie.—Janek konikiem (wiersz). Bóbr pospolity (z drzew.) — Zosia i Azor (wiersz). — Stefanek. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

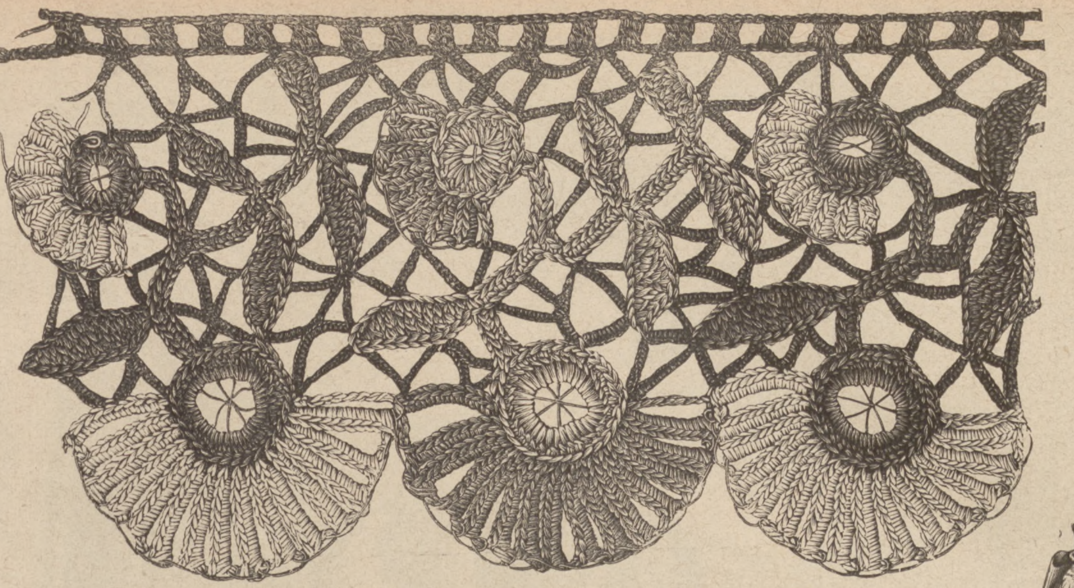
Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Октября 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 45.

(*Dokończenie*).

N. 14. Suknia z krótkim paletocikiem, zdobna wyszyciem z sutaszu. Patrz ryc. 7 w N-rze 44. Krój, deseń i przód na arkuszu N. V, f. 14-25.

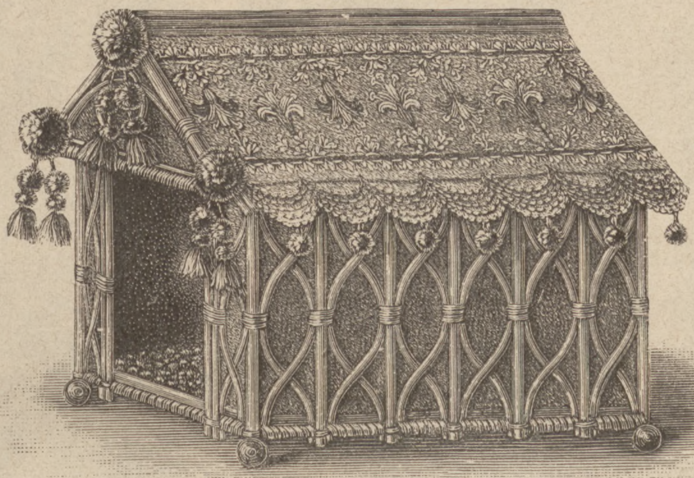
Spódnica z zielonej materyi, u dołu 198 cent. obwodu mająca, zakończona 20 c. szerokim wolantem z zielonego sukna. Na fig. 22 litera *a* daje połowę draperyi przedniej; górny brzeg ma zaszewki zastosowane do figury, a boczne sfałdowane są od 20 do 48 w poprzeczne fałdy. Z tyłu na spódnicę spadają dwa długie proste bryty w górze ściśle sfałdowane, dopełnione z wierzchu upięciem z bryta *b*, złożonego do środka gwiazdką do gwiazdki podług linii kropkowanej a w górze sfałdowanego podług znaków, poczem fałdy składające się wachlarzowo, trzeba przyczepić niewidocznie podług ryc. 7 w N-rze 44. Dolny brzeg draperyi przedniej ozdobiony jest wyszyciem z jasnego i ciemnego sznura, którego deseń daje w połowie szerokości f. 24. Stanik dopasować można podług form dawanych na dodatkach; paletocik zaś stanowiący dopełnienia ubrania do wyjścia na ulicę, szyje się z tego samego materyału, z fiszbinami na szwach, formę dają fig. 14—21, na podszewkę użyta materya w kratkę białą z czarnym. Wyszycie ze sznura (patrz fig. 23) i duże guziki służą jako ozdoba.



N. 1. Koronka szydełkowa spajana igłą.



N. 2. Sukienka dla panienki lat 9—11. Opis przy ryc. 2 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. VI, f. 26—32.



N. 5. Budka dla pieska pokojowego. Opis na arkuszu z krojami. Wyszycie patrz ryc. 13 w N-rze 44.



N. 3—4. Krótka i długa sukienka dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. IV, fig. 10-13.



N. 6. Płaszczyk dla dziewczynki lat 2—4. Patrz ryc. 7. Krój na arkuszu N. VII, fig. 33—37.



N. 8. Paletocik wcinany. Patrz rycinę 7 i 11 w N-rze 44. N. 9—10. Suknia z długą tuniką. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—6.



N. 7. Płaszczyk dla dziewczynki lat 2—4. Patrz ryc. 6.

N. 15. Ubranie wizytowe.

Odrobione z popielato granatowego aksamitu i repsu jedwabnego w kolorowe deseniowe pasy. Spódnica aksamitna wycięta u dołu w zęby 10 cent. głębokie podszyte jedwabnem plisowaniem; tunika w pasy otwarta z lewego boku, odsłania suknię przybraną rozetami szmuklerskiemi z perełkami. Aksamitne przody stanika otwierają się na kamizelce w pasy, dopełnionej w górze szmizetką z białego aksamitu. Kapotka aksamitna z kolorowemi skrzydłami gołębiemi z boków i sutą kokardą z przodu.

N. 16. Suknia ze stanikiem z kamizelką. Patrz ryc. 31 w N. 44. Tylne bryty upięcia krajać podług litery *b* na fig 22.

Materya jedwabna gładka i deseniowa użyta na suknię przedstawioną z przodu na ryc. 16 a z tyłu na ryc. 31 w N-rze 44. Spódnica zaplisowana jest w szerokie fałdy i przykryta z przodu draperyą fartuszkową zakończoną gładkim ranwersem i ozdobą szmuklerską; z tyłu dwa bryty upięte, w fałdy wachlarzowe (patrz *b* na fig. 22), przyczepiają się niewidocznie na spódnicy podług ryc. 31 w N. 44. Przody stanika opatrzone z brzegów dziurkami, przypinają się na kamizelce za pomocą guziczków połączonych sznurem; na plecach stanika dane przybranie podług r. 31.

N. 17. Suknia z szerokiem wyszyciem. Patrz ryc. 6 w N-rze 44.

Odrobiona z białego wełnianego materyału, miała na trzech szerokich kontrafałdach z przodu i boków wspaniałe 35 cent. szerokie naszycie z białej jedwabnej pletni



N. 11. Kapelusz filcowy z szalikiem tiulowym. Patrz ryc. 14.

N. 12. Kapelusz aksamitny „Bersaglieri". Patrz r. 21.

N. 13 Sachet na chusteczki batystowe.

N. 14. Suknia z paletocikiem zdobna wyszyciem ze sznura. Patrz ryc. 7 i 11 w N-rze 44. Krój i deseń na arkuszu N. V, fig. 14—25.

N. 15. Ubranie wizytowe.

N. 16. Suknia z kamizelką. Patrz ryc. 31 w N-rze 44.

N. 17. Suknia z szerokiem szyciem pletnią. Patrz ry w N-rze 44.



N. 18. Suknia ze szpiczastą fartuszkową draperyą. Krój na arkusz N. VIII, fig. 38.

N. 19. Suknia przybrana kokardami.

N. 20—21. Suknia z szeroką szarfą.

N. 22. Suknia ślubna. Krój trenu patrz na arkuszu N. IX, fig. 39.

różnej szerokości, łaczonej gipiurowym sposobem białym jedwabiem. Fałdzisto zebrane tylne bryty sukni, spuszczone są u góry w dwa pukle po 30 cent. długie, dolny brzeg zaś jest szeroko obrąbiony. Przy wązkiej kamizelce całej naszytej pletnią, dane ranwersy w górze 7 c. szerokie do dołu zwężone; kołnierzyk stojący 5 c. szeroki.

N. 18. Suknia ze szpiczastą fartuszkową draperyą. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 38.

Model był z ciemno ponsowego jedwabnego repsu w biały desenik, przybrany efektownie białym jedwabnym haftem na tiulu. Spódnica ułożona w około w podwójne 20 cent. szerokie kontrafałdy, na których dane naszycie ze sznura 10—12 cent. szerokie. Fig. 38 daje w małym formacie wymiar draperyi przedniej, która w górze ma małe zaszewki, a po sfałdowaniu spuszcza się szpiczasto aż do dołu. Na tylne upięcie w kształcie szarfy potrzeba dwóch brytów 54 c. szerokich, złożonych wzdłuż we dwoje i upiętych w kokardę z końcami. Na staniku dany plastron z kołnierzem stojącym cały z haftu, prócz tego wzdłuż przodów dane plisy aksamitne i szlaki haftu w narożnikach zawróconego do tyłu.

N. 19. Suknia przybrana kokardami.

Uszyta z granatowego wełnianego materyału w rzucik kolorowy, ma spódnicę plisowaną, suto przybraną koronką 6 c. szeroką. Fałdzista draperya otwarta z boku odsłania koronkę. Stanik bawetowy ma karoczko złożone w kontrafałdy; z przodu dane podwójne ranwersy, jedne przypięte guziczkami, które oszyte koronką. Kokardy ułożone z wstążki repsowej 8 c. szerokiej, w dwóch kolorach.

N. 20—21. Suknia z szeroką szarfą.

Na spódnicy podszewkowej spada druga z beżu w pasy, której przód i boki ułożone są w kontrafałdy po 35 cent. szerokie, z tyłu zaś dane dwa bryty gładkie a trzeci w pasy, przysłonięte szarfą jedwabną 22 c. szeroką, ułożoną w dwa pukle po 42 c. długie i dwa końce po 82 c.

długie. Dolny brzeg sukni z wyjątkiem brytów gładkich oszyty 8 c. szeroką wstążką z pikotami.

N. 22. Suknia ślubna. Krój na arkuszu N. IX, fig. 39.

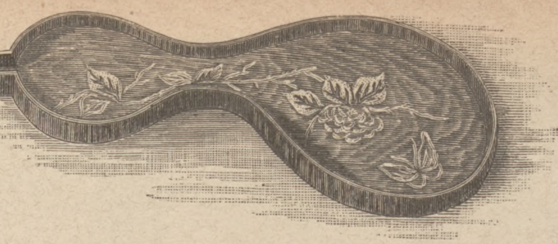
Suto przybrana kosztownemi koronkami, uszyta jest z ciężkiego jedwabnego repsu; cały bryt przedni przykryty fałdzistą draperyą, podsuniętą z boków pod fałdy brytów bocznych, 11 c. szerokie, naszyte koronką. Długi prosto ścięty tren, którego wymiar daje fig. 39, zszyty z czterech brytów, złożonych w górze w poczwórne kontrafałdy, do dwukropka tren zszywa się z bocznemi brytami sukni, ściętemi kliniasto, dalej zaś ogarnirowany jest sutą riuszą z materyi wyciętej w ząbki. Stanik bawełnowy, sfałdowanem karoczkiem, zapięty z przodu na haftki przybrany jest koronką i fałdowaniem z materyi.



N. 23—25. Sprzęty do ozdoby kominka. Malowanie ręczne.

N. 23—25. Sprzęty malowane olejno lub t. p. do ozdoby kominków.

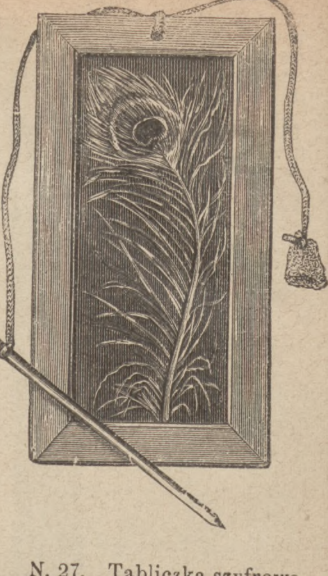
Na gzymsach kominków, konsolkach, półeczkach moda każe rozstawiać różne drobiazgi, porcelanę i t. p. sprzęty, które można ozdabiać własnoręcznem malowaniem olejnem, wypalanem, rzeźbą na drewnianych przedmiotach. Rycina 23 przedstawia rodzaj dzbana z glinki, malowanego olejnemi farbami; na ryc. 24 widzimy dużą flaszę szklanną ozdobioną kolorowo malowaną tarczą herbową. Oryginalną nowość odpowiednią do stołowego pokoju stanowi drewniana oprawa z kamieniem do ostrzenia nożów, malowana z wierzchu w kolorowe motyle, u góry przybrana bukietem kwiatów.



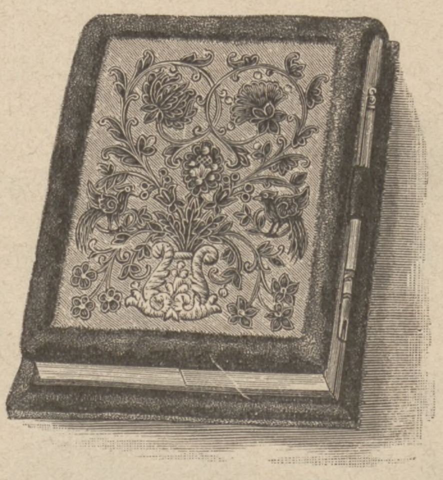
N. 26. Tacka drewniana z deseniem wyrzynanym. Patrz ryc. 32 i fig. 48.

N. 26 i 32. Tacka drewniana. Deseń patrz f. 48.

Tacka w guście japońskim, przeznaczona do zastawy herbacianej na jedną osobę, może być odrobiona z orzechowego drzewa podług formy fig. 48, z brzegiem w około wystającym na 2 c. Desenik wyrżnięty jest ostrym scezorykiem; niektóre listki mają tylko kontury i żyłki, w innych przeciwnie cały kształt liścia wyrzyna się na drzewie, zostawiając wypukłe żyłki środkowe, jak to widać na ryc. 32.



N. 27. Tabliczka szyfrowa.



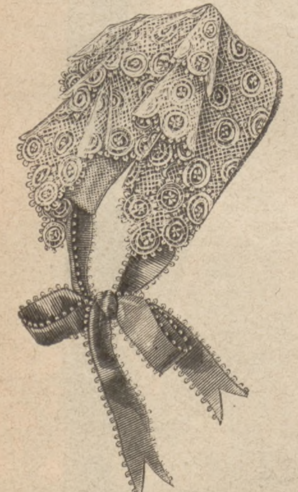
N. 28. Teka z kartkami do notatek. Haft patrz ryc. 29.

N. 28—29. Teka z kartkami do notatek.

Ozdobiona haftem złotem i filozelą na jasnym safianie, którego deseń i wykonanie przedstawia w naturalnej wielkości r. 29. Cień jaśniejszy i ciemniejszy w lirze oznacza naprzemian dany bajorek gładki i kręty pod haft wywodzi się grubo białą bawełną. Wszystkie gałązki i łodyżki są wyszyte podwójnie daną nitką złotą, przytrzymaną poprzecznemi ściegami żółtego jedwabiu. Pod haft filozelą nie podkłada się bawełną.

N. 30. Negliżyk z chusteczki koronkowej.

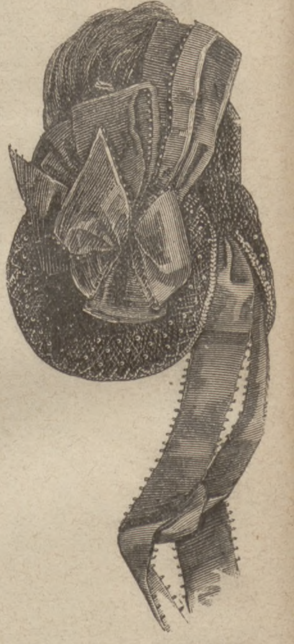
Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu, 34 c. długi, w środku 6 w końcach po $3\frac{1}{2}$ c. szeroki pokryty kolorową materyą, z tyłu związany wstążką. Denko stanowi chusteczka koronkowa lub jedwabna złożona w trójkąt.



N. 30. Negliżyk z chusteczki koronkowej.



N. 29. Haft złotem i jedwabiem, do ryc. 28.



N. 31. Kapotka aksamitna. Patrz przód ryc. 20.

N. 31. Kapotka aksamitna. Główka 7 cent. wysoka pokryta jest bufiasto, rondko zaś aksamitne przykryte z wierzchu koronką wywodzoną złotem. Z boku dana wielka kokarda z wstążki 9 cent. szerokiej, z przodu zaś upięcie z piór kruczych. Końce do wiązania z wstążki 6 cent. szerokiej.



N. 32. Wyrzynanie na drzewie, do ryc. 26.



N. 33. Malowanie i haft do ryc. 15 w N-rze 44.